NUMER 34. DNIA 24-go SIERPNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

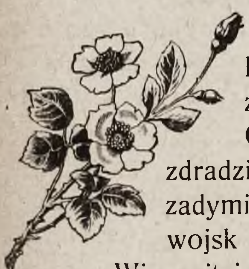
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Zielona Bukowina.

(Z WYCIECZKI LETNIEJ.)



...Witaj Bukowino... ty zielona! Już twoich lasów łomy zwaliste nie spadną więcej na Olbrachtowych rycerzy śmiercią zdradziecką, a szlaki krzyżowe nie zadymią wojny pożogą, ani tętentem wojsk hospodarskich...

Więc witaj... zielona! witaj wstęgą Seretu srebrzysta, kukurudzianymi łany nastrzępiona i w słoneczniki zdobna jaskrawe...

Na wzgórzach twoich zielonych krwi tyle przyschło i bolów, że ino patrzeć jak krwawy z nich strumień wytryśnie, w huczących wirach Prutu śmierci się tyle schowało, że aż dziw, czemu wody jego tak czyste i białe...

Więc witaj szumna i smutna Bukowino! Przedsionkiem byłaś Zachodu, otwartymi wroty, przez które szła wędrówka narodów dzikich ze smolną żagwią i zniszczeniem i rabunkiem... a dziś na polach twoich zielonych usiadło ludów mrowisko cichych i smętnych, a dziś w twoje niebiosa tyle modlitw uchodzi, ile jest obrządku i wiary na rozgraniczu trzech mocarstw.

Fragmenty narodów, tam poszły i żyją wspólnie na łanach zielonych, a z nich każdy w stronę swej wielkiej spogląda ojczyzny — w stronę dalekich współbraci, każdy innym przemawia językiem, inną wiarą się modli...

Dziwny kraj! Taki mały, a dziesięć narodów w nim mieszka, dziesięć się modli obrządków! Biedny kraj! — dla nikogo nie jest ojczyzną — a żywicielem tylko!

Prawdziwa wieża Babel, przykryta stosowanym kapeluszem austrjackim!

Zdala jeszcze widnieją wieżyce Śniatyna, jeszcze Pokucie pól swoich barwą i niskiemi chaty zabłyśnie, gdy się pod podróżnika stopy Prutu srebrna fala położy, a na drugiej stronie już Bukowina.

Na razie wszystko, tak jak było przed chwilą, Tylko w oddali jakieś pasma gór bieleją, tylko Łużany szumniejszą już nazwę noszą „Luzan“ albo „Lujeni“, nie wiedzieć zresztą dlaczego, gdyż zaraz widać, że nazwa tej miejscowości pochodzi od ługów zielonych, wierzbowych, które szerokie w tem miejscu zajmują obszary.

W jednej chwili język polski, tak jakoś zanika zupełnie, a wszechwładnie się szwargot niemiecki rozlega.

Oryginalny „kraj koronny“, który właściwie nie jest „koronnym“, oryginalna jednostka rządowa ale nie zupełna i nie kompletna. Ma rząd i sejm krajowy, ale kościół się rządzi gdzie indziej, ma niby kolej, ale dyrekcja jej w innym już leży kraju koronnym... ot tak jak w Austrji na dwie połowy podzielonej...

Ale „kraj“ ten „koronny“ ma jeszcze coś, typowo austrjackiego. Jak wiadomo w r. 1771 zawarła Austrja z Turcją, po za plecami Rosji tajemne przymierze, w którem zagwarantowała Turkom całość ich posiadłości. Przyszła wojna między Turcją a Rosją w r. 1774. — Turecki sprzymierzeniec schował się cicho za Karpaty i gdy Moskale już poszli, wykonał akt przymierza w ten sposób, że wojskami swoimi obsadził turecką Bukowinę.

Jestto *mutatis mutandis* to, samo co się niedawno stało z Bośnią, z tą tylko różnicą, że ówczesny rząd austrjacki nie mógł w zdobytym kraju rozłożyć sieci „sztajeramtów“ od czego zwykle swą państwową działalność rozpoczynał, gdyż w Czerniowcach nie było podobno ani jednego domu murowanego. Trzeba więc było najpierw pobudować „Finanz Direction“ i inne „Regierungs gebäude“ trzeba było trochę Niemców sprowadzić, otoczyć ich pieczołowitą opieką, aby w sto lat później z dumą powiedzieć, że się kraj z dzikości, na najwyższy stopień cywilizacji wyprowadziło.

Więc raz jeszcze stwierdzić trzeba, że nie zwykły to kraj, ta Bukowina, która... Austrji, cywilizację swą zadzięcza, i to nie w formie gotowych już „sztajeramtów“ gdyż musiano wytworzyć najpierw warunki dla ich rozwoju.

Stąd też takie Czerniowce, to miasto specyficznie austrjackie — nie ma tam śladów przed „sztajramtowej“ kultury, a Niemcy tamtejsi, począwszy od pierwszego gubernatora Enzenberga z dumą powtarzają: Czerniowce, to Austrja w miniaturze!

No! prawda... miasto wielkie, na górze położone, dojeżdża się doń wielkim spadem, przy pomocy tramwaju elektrycznego, którego dzwonek na przodzie umieszczony, niewiem dlaczego, ale przypomina dźwięk dzwonka „z Panem Bogiem“.

Niemiecki gwar rozlega się dokoła, rozpanoszony... dumny, wszystko swym ciężarem przygniatający. Szwabki z koszykami na głowach, wojsko, bursze w czapeczkach... ale ot góral poczciwy, w postołach i filcowych „sztanach“ niesie wodę w konewce! zamiast się wspinać po turniach wysokich... czynności kuchenne spełnia potulnie. — A ot drugi góral ciężary dźwiga, trzeci ulice zamiata...

Ciekawa rzecz, jak mieszkaniec równin nie może się z takim widokiem pogodzić. Dla niego góral, to zaraz „Janosik zbójnik tatrzański“, albo człowiek co ma „czerwony pas, za pasem broń i topór co błyska zdala“ a tymczasem tutaj... konewka z wodą. Ale zato ten góral to pierwsza rysa w niemczyznie czerniowieckiej:

Wchodzimy bowiem dalej w rynek: a tu już prawdziwe zdumnienie ogarnia: dokoła kamienice wielkie, z napisami niemieckimi wszędzie i na każdym kroku tak, że aż deprymujące to sprawia wrażenie, a tymczasem na samym rynku mowy niemieckiej, ledwie że niesłychać. W gwarze ruskim, polskim, rumuńskim, ledwie że gdzie jakie słowo niemieckie doleci. Gdy się do tego jeszcze raz dokładnie obejrzy okoliczne napisy, to coraz częściej się spotka, jakiś polski napis skromnie ukryty, to znowu ruski, tam szyld aż czterojęzyczny...

Nie tak to więc strasznie jak się zdawało. Zapytujemy pierwszego lepszego przechodnia, a on odpowiada czystym polskim językiem, wchodzimy do czysto niemieckiego sklepu, aż tam po pierwszem „*was bitte?*“ znowu polska, ugrzeczniona odpowiedź i tak wszędzie na każdem miejscu.

Nawet człowiek, któryby ani słowa po niemiecku nie rozumiał, przejść może całą Bukowinę, jakby własne podwórko, a osobliwie w Czerniowcach wcale nie poczuje braku znajomości języka niemieckiego.

Chcąc jednak zrozumieć tajemnicę niemieckiego charakteru miasta, wystarczy obejrzeć się po rynku i zatrzymać wzrok na pobliskim, dumnie na pryncypalnem miejscu rozsiadłym gmachu, w stylu maurytańskim. To synagoga, dzieło śp. prof. Zacharjewicza, a jej bogaty i monumentalny charakter nasunie zaraz domysł, że żydzi w tem mieście niepoślednią odgrywać muszą rolę. I rzeczywiście patrząc na te wybitne semickie typy, zalegające trotoary, pojmie się zaraz, że żydzi właśnie są tymi, jak zwykle niestety, którzy pracowicie konserwują niemczyznę, że nikt inny tylko oni nadają miastu pozór niemieckiego charakteru.

Przypatrzmy się zresztą, przedstawicielom niemieckiej „rycerskości“, tak zwanym „burszom“, Jest właśnie południe, po rynku pląta się ich mnóstwo w różnobarwnych czapeczkach burszowskich. Ale pod każdą taką czapeczką, siedzi

tak wybitny typ semicki, taki czystej krwi „puryc“, że nie potrzeba się nawet bardzo domyślać, kim są właściwie, ci szwargocący „niemcy“.

Mimo to jednak nie mogę zapomnieć zdumienia, gdy mi redaktor czerniowieckiej „Gazety polskiej“, począł odczytywać z jakiegoś sprawozdania szkolnego szeregi nazwisk, jak Pohorilles i inne, które jako narodowość swoją, podały „der Pole“. Zdumienie to wcale naturalne, gdy się zważy tę jakąś niezwykłą skłonność żydów do niemczyzny, dla których Wiedeń jest zawsze jeszcze niedościgłym wzorem szyku i elegancji.

W Czerniowcach ten szyk wiedeński jest ostatnim wyrazem pożądanej piękności. Wystarczy, aby tandeciarz wystawił za oknem wystawowem strój jaki z napisem: „wiener mode“, a już cały tłum czerniowieckich elegantek podziwia go i opatruje na wszystkie strony z całym pietyzmem. Chociaż niestety i u nas nie brak amatorów szyku wiedeńskiego. Piszący te słowa sam ma jednego znajomego, którego marzeniem było pojechać do Wiednia. I rzeczywiście pojechał, a w dowód, że tam nie próżnował, położył w swoim salonie katalog z... panopticum, w którem pokazują podobiznę... „niewiastobójcy“ Hugona Schenka...

Obok burszów jednak i elegantek z żurnalu wiedeńskiego, przechadzają się typy tak charakterystyczne, że w żadnem innem mieście ich nie napotkać. Rumuni w długich białych, haftem bramowanych płótniankach, cyganie, Filiponi z Białej Kiernicy rosyjska sekta, w czerwonych spływających na zewnątrz koszulach, to znowu lud ruski, rosły w tamtych stronach i malowniczy... zwłaszcza góralki.

Osobliwa rzecz, jak te ruskie kobiety pojęły i w prymitywnie naiwny sposób stosują kokieterję strojów. Zawój biały a wysoki, misternie u tyłu głowy związany, wydłuża twarz samą w owal szlachetny, jak na obrazkach kobiet holenderskich. Koszula długa, z naramiennikami bajecznie haftowanymi, a od pasa bronzowa gruba spodnica, założona misternie w połowie, tak że u dołu tworzy szeroką falbanę. Skutkiem tej falbany cała postać jakby się u dołu zwężała, a wszystko to razem wywołuje taki sam efekt, jak spodnia kolorowa suknia u miejskiej elegantki.

Im dalej w głąb Bukowiny, tem stroj ten charakterystyczniejszym się zdaje, zwłaszcza na tle wzgórków zielonych, olbrzymio długich wsi rusko-wołoskich lub łanów kukurudzy, obsadzonych w koło słonecznikami.

Zdala zieleniejące wzgórza dają krajobrazowi niejako ramy ozdobne, ale tam po za ramami owymi nie ma już Bukowiny. Tam się wstrzymuje myśl bukowińskich polityków, których głównem jest marzeniem, aby kraj ich stał się naprawdę.,. krajem koronnym.

Fr. Jaworski.

NOWA POEZJA FRANCUSKA.

Piętnaście lat mija od czasu, gdy w jednem z pism warszawskich pomieściłem rozprawkę pt.: „Symbolizm“ (1887). Była to, zdaje się, pierwsza u nas wzmianka, dotycząca nowego ruchu literackiego we Francji -- i przytem współczesna niemal samym początkiem tego zjawiska. Pod świeżem wrażeniem dążeń odrodzeniowych w dziedzinie twórczości poetyckiej — dążeń, których potrzebę sam uznawałem — mogłem jedynie z wielkim zapałem mówić o tej rzeczy. To też, pomimo niejeden punkt w nowym ruchu zrozumiany i wyłożony nie zupełnie ściśle, rozprawka moja miała znaczenie zapowiedzi jakiegoś nowego przełomu w literaturze. Niedokładność w zrozumieniu

symbolizmu częściowo tylko może być za mój własny grzech uważaną. Sami twórcy owego ruchu byli w tym czasie nieświadomi tego, co czynią.

Przełom ówczesny nie był tak gwałtowny, jak to bywa w niektórych okresach (np. w okresie romantycznym); przeciwnie, szedł on drogą ewolucji stosunkowo powolnej. Powstawała nowa metafizyka i nowy pogląd na świat; ale była ona jeszcze długi czas wielu nićmi powiązana z panującym poglądem na świat i nie mogła się tak łatwo z pod jego wpływów oswobodzić. To też w pierwszych początkach widzimy w tzw. symbolizmie mięszaninę bardzo rozmaitych pierwiastków (realizm, pozytywizm, naturalizm, parnas, dydaktyka, ideologja, psychologizm itd.). Nowe pokolenie, nowej formuły artystycznej poszukujące, było ze wszech stron zalane staremi formułami i właściwie piętnaście lat temu szukało raczej drogi wyjścia, niżeli ją miało gotową; szukało wroga, z którym miało walczyć. Mając bowiem intuicyjnie gotowe odpowiedzi, jeszcze nie postawiło sobie należycie pytań.

To też wyraz symboliści stanowił jedynie *vocable*, niemający ścisłego znaczenia; oznaczał on tylko łączność pewnej młodej grupy literackiej w przeciwstawieniu do innych grup, któremi — jak się to później okazało — byli przedewszystkiem naturaliści i parnasiści. Dodać trzeba, że nasi pisarze nie mieli takiego arcykapłana, jakim dla romantyków np. był Wiktor Hugo, dla naturalizmu E. Zola; tu szła odrazu cała grupa jednostek bardzo różnych, wprost niepodobnych do siebie, które łączyła tylko pewna analogja w poglądzie na świat.

Rozprawę swoją zakończyłem słowami Goethego: „Szarą jest każda teorja“, czekajmy poematów. — Mija lat piętnaście od czasu pierwszych haseł nowej szkoły (używam tego wyrazu w braku lepszego) — i trzeba przyznać, że nie zawiodła ona pokładanych w niej nadzieji. Pominąwszy starych mistrzów, jak: A. Rimbaud, St. Malarmé, P. Verlaine, de Villiers de l' Isle Adam — mamy cały szereg nowszych, niepospolitych pisarzy, jak: Henri de Regnier, Vielé-Grifin, Emil Verhaeren, Jules Laforgue, G. Kahn, Jan Moréas, Stuart-Merill, Francis Jammes i inni, którzy ogłosili dzieła pierwszorzędnej wartości. Popularność ich jest różnego stopnia, ale popularność nie przesądza o wartości.

Nadszedł czas obrachunku sumienia. Nieco mdła i niezupełnie świadoma rzeczy, a jednocześnie przystrojona w pretensjonalną szatę przedwczesnej syntezy — książka p. Charles Morice'a — była pierwszem dziełem, stanowiącem obraz tej stającej się literatury (*Littérature de bout à l' heuer* tj. literatura, która się staje). A. Mockel *Propos de littérature* rozważa głównie H. de Regnier i V. Grifina, czyniąc z nich, jakby ogólne typy poezji współczesnej. Vigié-Lecoq w swej *Poésie contemporaine* bada kolejno, jak się wyraża w poezji współczesnej: natura, miłość, mistyka, społeczeństwo.

Ostatniemi czasy coraz świadomiej i wyraźniej ujawnia się dążność do historycznego ogarnięcia tego ruchu. Kilku autorów świeżo wydało książki, omawiające twórczość nowych poetów w rozciągłości szerszej, niż to działo się dotychczas.

Przedewszystkiem zaznaczymy tu rodzaj antologji nowych poetów pt. *Les poètes d'aujourd'hui;* mamy tu wyciągi z wszystkich pisarzy wybitniejszych, oraz szczegóły bio- i bibliograficzne, dotyczące poszczególnych autorów. Dalej dzieło G. Kahna pt. *Symbolistes et Décadentes,* gdzie autor może za wiele mówi sam o sobie, ale mimo to książka jego zawiera wiele wspomnień i anegdot do historji symbolizmu, a nadto ogólne poglądy, ułatwiające orjentowanie się w całości tego zjawiska. Nakoniec zwraca uwagę książka A. Beaunier pt. *La poésie nouvelle*: jest to szereg portretów literackich, bardzo dobrze, choć może zbyt eklektycznie malujących główne tendencje ruchu.

Trzeba zresztą dodać, że wszystkim tym dziełom nie brak panegiryzmu, nieco zbyt przyjacielskich zachwytów i sądów nie zupełnie bezstronnych.

Bądź jak bądź książki te budzą w nas uczucie szacunku dla garści poetów, którzy nigdy nie wątpili o powadze i znaczeniu swego stanowiska — i którzy w hałaśliwem, merkantylno-politycznem otoczeniu swego czasu i społeczeństwa, umieli stworzyć sobie odosobnioną i niedostępną wieżę z kości słoniowej, gdzie miała ołtarz czysta, niezależna i nieprzejednana sztuka. Długiego czasu to wymagało, zanim ludzie tę czystość sztuki uznali, ale chwila ta — dla nielicznych oczywiście — nadeszła; ci nieliczni poszli ku odosobnionym i niezależnym poetom.

Długi czas środkowym punktem nowego kultu poezji były zebrania u St. Mallarmé. Dziwny ten i tajemniczy człowiek, który oddziaływał raczej słowem niż piórem, pisał niewiele, a jednak to, co napisał, wystarczyło do wywołania przewrotu w literaturze.

Był on odszczepieńcem Parnasu podobnie jak Verlaine, ta ich heretyckość zapewne głównie uderzyła młodzież. Również kochano Baudelaire'a, odszczepieńca romantyzmu, Flauberta, odszczepieńca realizmu; Huysmansa, odszczepieńca naturalizmu. Fantastyczni pisarze, jak Barbey d'Aurevilly i de l'Isle Adam; wpływy germańskie, jak Quincey, Edgar Poe, Hoffman, Heine (ale Heine-wizjoner, nie zaś ironista), Ryszard Wagner, potem Henryk Ibsen; wreszcie wpływy rosyjskie, zwłaszcza Dostojewski i w pewnym stopniu Tołstoj — oto główne źródła, skąd płynęła reakcja przeciw dotychczasowym kierunkom. — Z jednej strony oddziaływały herezje; z drugiej mistyka oraz autorzy cudzoziemscy: ci bowiem przynosili wrażenia i myśli, nowe i niespodziewane.

Pierwiastek nowości był jednym z tych, których najbardziej pożądała dusza pokolenia, znużonego monotonją naturalizmu i parnasu. Był to pierwiastek osobny, w dalekim związku tylko będący z przemianą poglądu na świat, lecz pierwiastek *par excellence* estetyczny, pragnienie świeżych lodów i świeżych oddechów.

Parnas i naturalizm zewnętrznie zdają się mieć mało pokrewieństwa ze sobą; oba te odłamy sztuki były wszelako pod jednym wpływem i jedną miały podstawę, tzw. pozytywizm.

Nowa poezja wynikła z reakcji przeciw pozytywizmowi — i oparła się na nowym poglądzie na świat, anty-pozytywnym, choć z pozytywizmu wynikającym; ten związek obu poglądów był powodem, dlaczego tak powoli nowa sztuka uświadamiała sobie swoją własną istotę. Jeżeli najnowsze pokolenie z bezwzględną pewnością siebie w świat występuje, pokolenie pierwszych symbolistów — jeszcze się chwiało już to w jedną, już w drugą stronę.

Zgodnie z idejami Aug. Comte'a, ścisłe widzenie i jasne konstatowanie faktów było pierwszą zasadą naturalizmu. Naturalizm usunął też z dziedziny sztuki wszystko, co nie było faktem; wszystko, co stało ponad zjawiskami zmysłowemi; usunął wszelką metafizykę i nadprzyrodzoność. Dlatego też ograniczał się on na malowaniu strony zewnętrznej życia i bardziej go interesowało zwierzę ludzkie, niż człowiek; wolał on tłum, niż pojedynczą duszę ludzką, a przeto również usunął ze swej dziedziny badanie wewnętrzne człowieka, ignorował krainę marzenia, snu, legendy, cudu, mistyczności.

Pozytywizm (lub mówiąc z angielska: agnostycyzm), uważając, że tajemnice bytu są nam niedostępne (niepoznawalne), zdecydował, że umysł ludzki nie powinien się nimi zajmować. Uznawszy, że metafizyka przerasta siłę ludzkiego rozumu, zawyrokował, że powinniśmy się ograniczyć do rzeczy widzialnych. Z tego zaś wynikło bezwzględne zaprzeczenie metafizyki. I gdyby można świat podzielić na sfery poznawalną i niepoznawalną, ściśle odgraniczone i określone, pozytywizm (jako pogląd na świat) byłby zgodny z naturą. Ponieważ jednak tajemnica krąży dokoła nas, między nami i w nas, zatem nieustannie stykamy się z nią i co chwila musimy łamać zasady pozytywne. Naturalizm trzymał się w granicach poznawalnego, rojąc, że „z retort nam błyśnie tajemnica śmierci“. Dla duszy ludzkiej miejsca tam nie było, była natomiast wielka dusza kollektywna, która nadawała dziełom naturalizmu pewien charakter społeczny, ale ta właśnie dusza kolektywna przydusiła niejako duszę osobistą.

Nostalgja cudu opanowała serca, marzenie na nowo schodziło między ludzi; z samej nauki ścisłej wykwitała mistyczna jakaś, jeszcze niekrystalizowana, wprost religijna doktryna; na kresach wiedzy odkrywały się tajemnicze sfery do których sam pozytywizm (jako metoda) otwierał wrota; pozytywizm sam odwracał się w mistycyzm, nauka stawała się magją. Tajemnica jawnie się ukazała w świecie poznawalnym, jako potęga wszechmocna i wszędzie obecna: samo poznawalne, pod tym nowym kątem widzenia, przedstawiło się nam jako splot fenomenów tajemniczych i niepojętych. Tajemnica była wszędzie — i zepchnęła precz rzekome jasne widzenie rzeczy i konstatowanie faktów.

Jakie niebezpieczeństwa kryła ta droga — to inna sprawa; jakie nowe błędy zawierały się w tych nowych poglądach — to się okaże w pokoleniu przyszłem, które się również znuży mefizyką, jak my znużyliśmy się nadmiarem „faktów“. Jedna rzecz staje się coraz widoczniejszą: oder-

wanie się poetów od społeczności, od otoczenia, od duszy zbiorowej.

Jeżeli naturalizm niejako pogrążył duszę osobistą w morzu kollektywnem, to nowy pogląd na świat domagał się jej praw; chciał ją oderwać od nacisku tłumu i znaleźć dla niej jakieś zacisze ku samopoznaniu i znalezieniu samej siebie. — Inicjatorem tego kierunku był Paweł Bourget, ze swym romansem psychologicznym. Młodzi pisarze jakiś czas wywodzili się od niego: *nôtre aîné à nous tous* — mówiono o nim. Jednakże wpływ ten osłabł z dwóch powodów: naprzód, że Bourget rychło się wyczerpał i zaczął sam siebie powtarzać, a powtóre, że jego analiza prowadziła zawsze do wyników negatywnych — i zabijała w czytelniku wiarę w siebie; psychologizm Bourgeta zawierał w sobie pierwiastek niszczący wolę i energję. Następcy Bourgeta, chcąc ratować energję, doprowadzili zasadę jego do karykatury, jak to uczynił Barrès w swoim kulcie egoizmu. — Kult energji i woli znaleźli młodzi poeci w pisarzu obcym, który wystąpił przeciw wszelkiemu *progressus in simile* — w imieniu jednostki. (Fr. Nietzsche).

(Dok. nast.) *A. L.*

EMMA JELEŃSKA

Z MIŁOŚCI.

6)

Marzyłam o tem... No, ale to trudno. Marzenia nigdy prawie się nie sprawdzają. A zresztą, może kiedyś, kiedyś — gdy Karol bardziej do mnie przywyknie — może coś będzie w tym rodzaju. Ale to już będzie co innego. Tymczasem, niech marzenie to schowa się głęboko — do tej ciemnej kryjówki, na dnie duszy, gdzie leży już niejeden zawód — niejedno rozczarowanie — niejedna zgaszona gwiazdka...

Trudno! „Treba żyć. jak nabieżyć“, mówią u nas na Polesiu. A tembardziej, że życie to ma przecie swoje dobre strony. Nawet i te wieczory chociaż często samotne, nie są przykre. Czytam, piszę dziennik swój kochany, gram trochę i czekam jego powrotu. I doprawdy, nie mam do niego najmniejszej pretensji o to wychodzenie. To mi nawet pochlebia, że on wszędzie taki pożądany, upragniony, że bez niego nic się nie robi, że zdanie jego wszędzie coś znaczy i nieraz najważniejszą sprawę rozstrzyga. Owszem, jestem dumną z tego. I za nic w świecie nie chciałabym mu być w tem przeszkodą, kulą u nogi. O, nie!

Gdyby on wieczory spędzał w klubie, na kolacyjkach i kartach — jak to niejeden ze znajomych mi mężów robi — tobym desperować miała rację. Ale jeśli idzie na służbę społeczną, a chociażby nawet czasem i poszukał towarzyskiej rozrywki — to nie mam prawa się smucić. Owszem, cieszyć się powinnam, i podtrzymywać go we wszystkiem co dobre. Wszak wiedziałam, że nie biorę sobie rozromansowanego panicza, ale poważnego, społecznego człowieka pracy.

Zabawne te panny! Chociaż się do tego nie przyznają, każda w głębi serca snuje sobie plany życia małżeńskiego, roi coś sobie — układa obrazki.

Ach, gdyby one wiedziały, jak rzeczywistość jest niepodobna do tych rojeń i obrazków!

A szkoda — tamte takie śliczne!

7 Maja. Dziś wpadła jak bomba Znajecka. Ładna, pachnąca, w jasnej sukni, w najmodniejszym jaki tylko być może kapeluszu. — A ja do państwa od dawna się wybierałam — takbym pragnęła zawiązać blizkie stosunki, mam dla pani tyle sympatji! Bo ja także jestem samotna — mąż mój wiecznie za domem. Kanarki i Mopek — to całe moje towarzystwo! A wie pani, takie śliczne wykłuły się nam kanareczki — ot, takie maluśkie! Chowam je w wacie — to nasze dzieci. Pani pewnie chciałaby mieć dziecko — prawda? Ach, ja przez pierwszych lat kilka, wprost melancholji dostawałam z tego powodu. (Boże! melancholja — i Znajecka. Także zestawienie!) Stasiowi ciągle sceny robiłam — ale on taki dobry, że się nie obrażał. Pani niema pojęcia, jaki

mój Staś kochany, poczciwy! Pani myśli, że jestem pół warjatki? — i że plotę trzy po trzy... Ale bo ja mam tyle sympatji dla pani! I mąż pani taki zacny, rozumny człowiek. Śliczne ma wąsy! I wszyscy go tu cenimy ogromnie. Pani musi być w nim strasznie zakochana — prawda? Tylko że litwinki takie skryte — nic po sobie nie pokazują. Ale przekonałam się, że mają szalony temperament. I pani także ma temperament — to zaraz widać. A naprzykład Olecka, to niema temperamentu — to ryba — niech mi pani wierzy. Ona czasem myśli, że to jest modne, mieć temperament — więc zaczyna się śmiać, krzyczeć, skakać — ale zaraz widać, że to robione. Za to ubiera się doskonale. Widziała pani jej angielską pikę? Nie? Z Warszawy sprowadziła. Ale ja sobie także sprowadziłam, i panna Anna mi zrobi. Bo, wie pani, uważam że płacić Leontynie dwadzieścia rubli za robotę — to doprawdy nie warto. Co innego suknia balowa, albo kostjum wizytowy — ale letnia sukienka! Musimy przecie oszczędzać pieniądze naszych mężów. A pani gdzie się ubiera? Chociaż pani — to może się byle gdzie ubierać, bo pani ma sznyt. Cieszy to panią, co Lutyński powiedział — prawda? Pani ma śliczną figurę! Może nie chce jej pani stracić — i dlatego nie mają państwo dzieci — co? zgadłam? Ej, proszę się przyznać, Jakie pani robi oczy zgorszone! cha, cha, cha! Przecież pani nie jest pierwszą naiwną — nawet widzę d' Annunzia na stole. Mój Boże! kto czyta d'Annunzia, ten już może wszystkiego słuchać.

Wstała i miała wychodzić. „A to dobre! zapominam, że przyszłam z prośbą — byłabym wyszła i nic nie powiedziała. Pani nie ma pojęcia, jaka jestem roztrzepana! Lutyński powiada, że nie mógłby przeżyć ze mną dwóch dni, dostałby pomięszania zmysłów — swoją drogą, codzień wieczorem przychodzi — i nie można go się pozbyć. Już ja ziewam czasami od ucha — a on siedzi i siedzi. Nie wiem, czy to się podoba jego żonie. Ale mniejsza o to! Przyszłam prosić — jutro imieniny Stasia — więc urządzam majówkę, prawdziwą majówkę! Więc proszę państwa — jutro o szóstej, na Kamilówce. Dobrze, co?“ Wyszła, ale zaraz potem był dzwonek — zapomniała parasolki. A przytem spytała: „Czy pani jeździ na rowerze? Nie? Czemu? Ja teraz codzień jeżdżę. Zbiera się nas w ogrodzie cała paczka — bo i Olecka się uczy. Ale ona taka niezgrabna! taki flak! I Lutyński, i Kurło — bardzo przyjemnie! Niech pani też przyjdzie kiedy. Ale pani tak się jakoś trzyma z daleka, że nie mam odwagi namawiać. Może to miodowe miesiące jeszcze trwają? — więc nie można przeszkadzać. Już to państwo mają opinję bardzo rozkochanej pary. Pewnie pani zazdrosna o męża? nieprawdaż? Ja w pierwszych czasach byłam strasznie zazdrosna o Stasia — nie mógł porozmawiać z żadną kobietą, bo zaraz mu robiłam scenę. Jak się spóźnił z powrotem do domu, dostawałam spazmów. Ale to było głupstwo! Teraz wiem, że mój Staś na nikogo nie patrzy, tylko na mnie — nie ma myśli ukrytej przedemną. Więc do jutra. Przyjdą państwo? Jeszcze lecę kupić coś w cukierni. Do widzenia!“

Tym razem wyszła na dobre. Boże, Cóż to za młyn wietrzny!

Usiadłam i odpoczywałam po tej rozmowie — raczej po tym jej monologu. O czem ona nie mówiła! W głowie mi szumiało...

Ale — prawda! — czemu my dzieci nie mamy? Już wkrótce rok jakeśmy się pobrali. Czyżby nigdy nie miało być? — E, może potem przyjdą. Tymczasem, lepiej, że ich niema, trzeba się najpierw zżyć, przywyknąć do siebie — połączyć się tak, jak ja tego pragnę, całą duszą... wszystkiemi myślami...

A czy idzie do tego? Albo ja wiem. Postanowiłam Karola nie zmuszać do niczego, nie wywoływać jego zwierzeń — ale sama dzielić się z nim sobą — dawać i dawać. Być nie może, aby wiecznie pozostał obojętnym na to. Tem bardziej, że mnie kocha, prawdziwie kocha. Tego jestem pewna.

Tylko w tem dramat cały, i kto wie czy nie zniszczenie szczęścia dla wielu, że mężczyźni kochają inaczej, a my inaczej. Oni kochają zmysłami, a także tem czemś. co w nich tęskni do cnoty, do łagodności, do słodyczy, do estetyki w życiu. Więc, gdy kobieta zadawalnia ich zmysły, a przytem jest cnotliwa, łagodna i ma pewną kulturę, to i dosyć. O nic więcej nie pytają — i zwracają myśli ku innym, zewnętrznym celom,

My zaś, jeśli kochamy zmysłami, to znacznie słabiej. A najbardziej kochamy inteligencją, umysłem, głową. My potrzebujemy widzieć w mężczyźnie coś, coby nas entuzjazmowało, cobyśmy

mogły wielbić i podziwiać; musimy zrobić sobie z niego w ten lub inny sposób bohatera, albo ofiarę, albo luminarza, albo nieszczęśliwego — słowem, nadczłowieka! I koło tej wielkiej postaci, którąśmy sobie zbudowały, rozkładamy z rozkoszą ognisko naszej miłości, Ale mamy też nasze pretensje, nasze wymagania. Nie dość nam wielbić i podziwiać — chcemy być nietylko czcicielkami, ale powiernicami i przyjaciółmi. Nawet więcej — chcemy być ich światłością, ich natchnieniem, ich dobrym duchem. I to jest dla nas szczyt szczęścia, to jest całkowite zadowolenie — gdy ta mądra, wielka głowa męska, gdy ten potężny umysł i silna wola, gdy ten nasz nadczłowiek skłania się ku nam i szuka w nas oparcia. Ach, wtedy ramiona nasze roztwierają się przed nim, jak anielskie skrzydła białe, ogarniające, i otulają go ciszą i słodyczą. A cała dusza nasza rozlewa się przed nim, jak balsam pachnący i drogocenny, jak struga jasnej wody rzeźwiącej. I wtedy kochamy lepiej, szlachetniej, wytrwalej, niż oni.

Ach, Boże! Gdyby w życiu można było wszystko tak jasno widzieć, jak w teorji. Ale małe codzienne sprawy tak zasłaniają widnokrąg, tak się tłoczą i w oczy rzucają, że ogólne zarysy giną, rozsnuwają się jak we mgle.

Co do mnie, to wszystko to, com powiedziała, ma zupełnie inne znaczenie. Ja nie potrzebuję wyobrażać sobie nic wielkiego w Karolu, bo naprawdę — mówię to bez żadnego zaślepienia — jest to człowiek wyjątkowy. Wszakże to nie moje zdanie — wszyscy tak myślą.

To też kocham go — kocham z całego serca!

10 Maja. Bardzo mię teraz zajmuje przyglądanie się innym małżeństwom i badania — o ile to być może — ich życia. Miałam do tego sposobność na owej imieninowej majówce. Oprócz nas były trzy pary: Znajeccy, Lutyńscy, Miłkowiczowie. Jakież między nimi różnice!

Znajeccy: Ona egoistka, ale nieszkodliwa — byle jej było dobrze, to nikomu nic złego nie zrobi. Dzieci nie mają, więc sobą zajęta, bo nie ma potrzeby kim innym się zajmować, tembardziej, że i mąż ją do tego zachęca bezgraniczną swą adoracją. Robi z nim, co chce, rządzi i panuje, ogłusza go potokami słów, które on wszystkie uważa za tak mądre i oryginalne, że gotów je ryć na spiżu i marmurze i jest zadowolona. A i on także. Skądinąd rozsądny, pracowity, porządny człowiek, dobrze wychowany, miły. Inteligencją stoi o całe niebo wyżej od żony, ale ani on sam, ani ona tego nie przyznają. Jej na świecie jest i będzie zawsze dobrze — niema wątpliwości. Jemu? zdaje się, że też jest dobrze — bo już nie czuje inaczej, jak przez żonę.

Lutyńscy: On jest lekarzem, ona „obywatelską córką“. On dużo zarabia i pracą swą i zdolnościami utrzymuje nietylko swoją rodzinę, ale jeszcze i ojca jej, który już dawno zbankrutował. Ale ona o wielkości swego rodu i szlachetności swego pochodzenia nie zapomina ani na jedną chwilę — jest wciąż obywatelska, wiejska, sielska nawet. I ma zasady — o, ma! Nosi je przed sobą, jak sztandar — jest w nie uzbrojona od stóp do głów. Swoją drogą, zasady nie przeszkadzają jej robić sentymentalno-czułych oczu do panów, w czem na zabój rywalizuje ze Znajecką. A że mąż jej jest wesołym człowiekiem i po ciężkiej pracy pragnie rozrywki, nie zawsze zgadzającej się z jej zasadami i szlachetnem urodzeniem — więc jedno idzie do sasa, drugie do lasa. Tylko że mają dwoje dzieci, które oboje szalenie kochają. I to jest jedyny — ale silny — pomiędzy nimi węzeł.

O Miłkowiczach najmniej mogę powiedzieć. Starsi są dużo od nas. On — o ile pierwsze wrażenia mię nie mylą — nie bardzo mądry, egoista i zmysłowy. Ona — mała, szczupła, już zwiędła; ale ma pyszne, mądre oczy, które człowieka nawskróś widzieć się zdają, i dobre usta. Zachowaniem się różni ogromnie od tamtych pań. Jest taka prosta, spokojna, a dla każdego życzliwa. Dobra być musi. O niej wszyscy się odzywają z uznaniem. Karol mówi, że to wzór kobiet. Jakoby dawniej ładna była — ale teraz miniona czterdziestka i pięcioro dzieci mocno ją zmieniły. W każdym razie, to ona dotychczas najwięcej mi się podoba.

Było jeszcze prócz tego trzech panów i jedna panna — i było bardzo wesoło. Karol był w doskonałym humorze, i taki przyjemny! Ja też oswoiłam się prędko z całem towarzystwem i starałam się nie być nudną. Musiało mi się to udać, bo rozmawiano ze mną bardzo chętnie, szczególniej Miłkowicz nie odstępował mnie prawie. Uważałam, że Karol był rad z mojego powodzenia. On wcale nie jest zazdrosny — ale to wcale! Więc i ja także byłam rada. Jabym chciała jego coraz lepiej przekonać, żem warta miłości

i zaufania — że i inni przecie mają mnie za coś.

18 Czerwca. Jakie śliczne to lato! Jaki cudny świat Boży! Takby się chciało dnie całe i długie wieczory spędzać gdzieś pod drzewami — to w słońcu, to w blaskach księżyca — na soczystej, miękkiej trawie, z błękitną kopułą nieba nad głową. Takby się chciało pić ten wiatr, idący od łuhów naszych — od tych niezmierzonych łuhów, migających teraz gdzieniegdzie białemi koszulami kosiarzy i błyskawicami ich kos. Takby się chciało mknąć duszohubką pod cieniem dębów, na przeczystej wodzie, i płoszyć jaskółki nadbrzeżne — i wjeżdżać z szelestem w wysokie oczerety. Albo w cichy wieczór, gdy mgła wstaje nad łąką, słuchać brzęczenia końskich dzwonków na pastwiskach — i jakiejś dalekiej piosenki... Takby się chciało!...

Ale nie. W tym roku nie zobaczę mojego Polesia. Karol tylko na jeden miesiąc może wyjechać, a wtedy musimy być u jego ciotki Korzyńskiej, matki Lutka, w Korzewie, i jeszcze w paru domach krewnych. Dotąd nigdzieśmy się wybrać nie mogli. Więc wakacje w ten sposób użyjemy. Karol namawiał mię, abym sama do Malinowicz pojechała na kilka tygodni — ale ja nie chcę. Zanadtobym tęskniła. Zresztą, jeśli on może tu siedzieć w pracy, i w nudzie, i w upale, to czemużbym ja nie mogła? On mi tego wyraźnie nigdy nie powie, ale mnie się zdaje, że mu ze mną lepiej. Więc porzucić go tu w samotności nie chciałabym za nic w świecie.

Wymawiam sobie nawet, że tak mi do wsi tęskno, i staram się o tem nie wspominać wcale, aby nie być podobną do Lutyńskiej. Ale mimowoli wzrok mój wciąż wybiega gdzieś w przestrzeń, rwie się w dal, a kiedy uderzy o zapylone mury miejskie, o snujące się mrowisko ludzi, wozów i koni — to cofa się z bólem, kurczy się, chowa się w głąb — i wtedy pod przymkniętemi powiekami przesuwają się cudne wizje niezmierzonych pól, cienistych lasów, nieba błękitnego — i dalekich, dalekich przestrzeni...

Nie można jednak narzekać na tutejsze okolice. Śliczne są! Pagórki, lasy, woda, rozrzucone chatki. Wesołe to, ludne, żyjące, pełne wspomnień i pamiątek. Przyznaję, że mało miast posiada podobne widoki.

Ale to nie to, co moje Polesie! Gdzież ta nieskończoność? Gdzież ta pierwotność? gdzie ten bezmiar cichy i samotny? gdzie ten tęskny spokój pod wilgotnem niebem — i to ukojenie — i ta Nirwana?

Jeśli gdzie, to tam można powtarzać za Tetmajerem:

„Nirwano! pochyl ku mnie twarz matowo-bladą,
„Ściągłą z blademi usty i czołem z marmuru.
„Kędy się zamyślenia nieskończone kładą...“

Ach, Boże! zaczynam poetyzować, i już — niewiem dlaczego — łzy mi do oczu napływają i zaczynają kapać na papier. Ach, jakaż ja niemądra!

Właściwie, czego ja chcę? czego mi brak? Albo ja wiem!

Wiem tylko, że coś się we mnie rwie, coś płacze, coś jęczy... coś się zrywa i opada... coś mi się majaczy — jakieś ramiona silne, któreby mię objęły, jakaś pierś, do którejbym się przytulić mogła, jakieś usta, któreby moich sękały — ale i jakieś myśli blizkie, coby się z moją myślą zlewały, i jakaś dusza, coby się z moją duszą w jedno złączyła...

Boże, czyżbym nie była szczęśliwa z Karolem?

Wszak jego ramiona takie silne i obejmują mię tak gorąco — wszak tulę się do jego piersi — wszak usta jego szukają moich ust... wszak czuję rozkosz w jego objęciach...

Tak. Ale myśl jego do mnie nie należy... Ale dusze nasze są od siebie daleko...

W chwilach upojenia — gdy serce o serce uderza, i zda się, jedna krew po naszych żyłach biegnie, i jedno życie w nas krąży — duchy nasze błądzą oddzielnie, samotnie. I im gorętszy uścisk, im większe zapamiętanie i rozkosz — tem dalej od siebie odchodzimy, tem więcej jesteśmy sobie obcy — obcy!

I gdy wkrótce potem, wróciwszy do realnego życia, zbliżamy się do siebie i spojrzymy sobie w oczy — to już zda się, że nas nic z sobą nie wiąże — że nic z sobą nie mamy wspólnego — żeśmy dla siebie obcy — obcy!

1. lipca. Przyszła wczoraj do mnie jedna panna — Zofja Użyńska — tak jej bilet głosił. Pierwszy raz w życiu słyszałam to nazwisko, ale mówiono, że ma interes, więc kazałam prosić, chociaż sama byłam jeszcze nie ubrana, ze spuszczonym na plecach warkoczem i w szlafroku. Wyszłam, przepraszając za swój negliż — i zo-

stałam od razu obrzucona tak badawczem spojrzeniem, że się stropiłam i zamilkłam. Stała przedemną mała, blada, zwiędła osóbka, bardzo skromnie ubrana, z wielkiemi oczami, które zdawały się resztę twarzy pochłaniać — i temi wielkiemi oczami patrzała na mnie trochę pogardliwie, a trochę gniewnie. Czułam, jak się one ślizgają po mnie, jak oceniają grubość mojego warkocza, gatunek moich koronek, cenę batystu i wstążek, białość moich rąk, wielkość brylantów w pierścionkach, całą moję osobę ważą, mierzą, kosztują — a wreszcie, odwracają się odemnie jakby zawiedzione. Ponieważ do zawodu w wyrazie ludzkich oczu niezbyt przywykłam — zwłaszcza ostatniemi czasy, w których rzeczywiście wypiękniałam bardzo — więc czułam się zawstydzoną, i słowa mi na ustach zamierały.

(C. d. n.)

Kwestje społeczne w przyszłości.

(Dokończenie)

Następny dział swej pracy prof. Adler poświęca kwestji znaczenia iluzyj dla rozwoju społecznego.

Cementem, który łączy ludzi do wspólnego działania, tworzy z mas jedną całość, elektryczną iskrę, która niweczy bierność jednostki, czyni ją zdolną do poświęcenia swego spokoju, mienia, często wolności i krwi, jest „iluzja" — powiada prof. Adler. — Przytacza też twierdzenie D'Israelego z romansu „Conisbory" (1844). „Rozsądkowi nie zawdzięczamy żadnych wielkich czynów, które jak słupy przydrożne w pochodzie ludzkości mogłyby być zaznaczone. Nie było to rozsądkiem, co zmuszało oblegać Troję, nie było to rozsądkiem, co Arabów gnało z pustyni zdobywać świat, nie było to rozsądkiem, co wywołało wojny krzyżowe, zakony klasztorne, powołało do życia jezuitów, przedewszystkiem nie było to rozsądkiem, co dało bodźca do rewolucji. Człowiek jest prawdziwie wielkim, gdy idzie za swemi namiętnościami i nigdy nie jest bardziej niepokonalnym, jak gdy się rządzi fantazją".

Socjalizm, zdaniem prof. Adlera, był iluzją wielką i płodną dla rozwoju. Zarzuca on mglistość ideału przyszłego państwa socjalistycznego. Niedostatecznie jest, zdaniem Adlera, określić, że to ma być wspólna, społeczna produkcja, dokonywana dla korzyści ogółu przez społeczeństwo, trzeba szczegółowo zaznaczyć system podziału w przyszłym ustroju, lecz w tym kierunku socjaliści zadawalniają się ogólnemi twierdzeniami, istniejące zaś projekty rozwiązania tej kwestji uważa autor za nieudatne.

Następnie twierdzi, że brak walki o byt w społeczeństwie ludzkiem i konkurencji, umożliwiłyby istnienie tym, którzy dziś giną, jako nieudolni, „coby obniżało rodzaj ludzki . Ten ostatni argument zapożycza autor od Spencera. Wychodząc z zasady dodatnich skutków walki o byt w społeczeństwie ludzkiem, Spencer był przeciwnikiem wszelkiej polityki społecznej, prof. Adler, gorący jej obrońca, wpada w sprzeczność, wszak zabezpieczenia od braku pracy, wielokrotnie propagowane przez Adlera, oraz zabezpieczenie od choroby, dają możność zachowania przy życiu „nieudolnych".

Reformy społeczne byłyby w rzeczy samej szkodliwymi dla rozwoju gatunku, gdyby podwyższenie warunków materjalnych społeczeństwa nie było czynnikiem przeciwdziałającym obniżaniu typu, powstawaniu tych „nieudolnych".

Iluzje socjalizmu były, zdaniem prof. Adlera pożyteczne, bo wyrwały masy z apatji. Dla ilustracji tej tezy autor daje szkic rozwoju ruchu robotniczego w Anglji, Francji i Niemczech, przytem nagina nieco fakty do swego twierdzenia. Np. idzie za prof. Brentanem, któremu słusznie zarzucają zbytnie upodobnienie ruchu angielskich chartystów z czwartego lat dziesiątka z ruchem socjalnej demokracji niemieckiej i przypisuje zbyt wielki wpływ pierwiastkowi socjalistycznemu w początkowym ruchu angielskim. Stowarzyszenia zawodowe robotnicze, zdaniem Adlera, znajdowały się pod wpływem uczniów Owena. Iluzja, zdaniem autora, spełniła w Anglji swą rolę i ruch angielski odznacza się praktycznością.

We Francji stowarzyszenia spożywcze, zawodowe, giełdy pracy itp. zjawiska, były rezultatem tych iluzyj, które wywołały wypadki z 1848 i 1870 r.

W Niemczech współczesny ruch robotniczy rozpoczął się od 1863 r., od agitacji Lassala, dźwigającemi go iluzjami były doktryny Marxa, ale dziś one już szkodzą rozwojowi jego i on się od nich wyzwala.

Wyzwolenie się z pod wpływu marxizmu, zarzucanie doktryny walki klasowej, uznanie, że interesy klasy robotniczej są ściśle związane z interesami produkcji i wywozu — oto, zdaniem prof. Adlera, wydatne cechy kwestji społecznej przyszłości. Sprawy te są przez autora bardzo pobieżnie i ogólnikowo traktowane w ostatniej części jego dzieła.

Autor kończy słowami Bismarka (współczesny niemiecki profesor przez patrjotyzm zawsze musi przy każdej sposobności cytować Bismarka): „żadna kwestja polityczna niema swego zupełnego zakończenia, tak żeby można było przeprowadzić w książce jej bilans; mają one swój czas i znikają wobec innych kwestyj: jest to droga rozwoju organicznego“.

Od dwóch lat profesorowie niemieccy wykładami uniwersyteckiemi i odczytami publicznemi prowadzą propagandę o powiększenie marynarki. Rzecz więc naturalna, że w wykładach prof. Adlera, mających na celu względy patrjotyczne, spotykamy też pierwiastek tej agitacji. Autor chciałby widzieć klasę robotniczą, popierającą walki zaazjatyckie i inne odległe rynki.

Kwestja produkcji bynajmniej nie jest obojętną dla klasy robotniczej i robotnicy nietylko angielscy, lecz i niemieccy są tego świadomi. Dla ilustracji można byłoby znaleźć przykłady daleko bardziej charakterystyczne, niż cytaty z prasy robotniczej prof. Adlera, można byłoby przytoczyć rozprawy w kwestji polityki celnej i wogóle handlowej na kongresach socjalnej demokracji w Stuttgardzie w 1898 i Moguncji 1900 r., szczególniej był charakterystycznym referat Calversa w Moguncji, w którym socjalistyczny deputowany Calvers żądał wojny celnej z Ameryką i zaznaczał ekonomiczny antagonizm interesu proletarjatu różnych krajów.

Lecz interesy eksportu nie są bynajmniej identyczne z interesami produkcji.

Pomimo szybkiego rozwoju przemysłu niemieckiego od 1882 r. do 1895 (ilość osób zatrudnionych w przemyśle zwiększyła się o 39%, wytwórczość pracy przynajmniej o 50%,) wywóz z Niemiec wzrastał nader wolno: przeciętny wywóz w okresie od 1882 do 1887 równał się 5.168 mil. marek; w okresie od 1888 do 1895 z wykluczeniem 1892, wojny celnej z Rosją, 5.244 mil. marek, wzrost więc stanowi 1·7%.

Wyprawy chińskie itp. nie cieszą się dziś wielką popularnością wśród mas, gdyż ekonomiczne konsekwencje zdobyczy kolonij w dzisiejszych warunkach nader trudno określić. „Chińczyk w swym własnym kraju, Indjanin azjatycki, oto niebezpieczni konkurenci, nie jako robotnicy u nas, ale przez rozwój swego własnego przemysłu“, mówił poseł Müller w parlamencie niemieckim w 1891 r. — W całym szeregu gałęzi przemysłu Niemcy muszą konkurować z Japonją i konkurencja ta w niektórych dziedzinach staje się niezmiernie trudną. (Sprawozdanie parlamentarne 18 sierp. 1891). Jaki skutek pociągnie przebudzenie życia ekonomicznego w krajach pozaeuropejskich — jest to jedno z najbardziej złożonych i spornych pytań dnia dzisiejszego.

W kwestji walki klasowej u prof. Adlera, jak u wielu pisarzy, zarówno zwolenników, jak i przeciwników tej zasady, znajdujemy pewną niejasność pojęć. W społeczeństwie ludzkiem, składającem się z różnorodnych grup, odbywa się walka tych grup (nie mówię klas, gdyż pojęcie grup jest szerszem i obejmuje wszelkie spójnie ludzkie: narodowe, plemienne, ekonomiczne itp.). Ale obok walk grup społecznych istnieje też pewna koordynacja, przejawiająca się w ograniczeniu szranków tych walk, w sojuszach i kompromisach między poszczególnemi grupami. Otóż często ignorują to objawy walki, to objawy koordynacji, lub też z pojedynczego przejawu odnośnie do tej lub owej kategorji wyprowadzają zasadę, mającą być podstawą społecznego rozwoju. Prof. Adler wpada w ten sam błąd, gdyż z powodu objawu walki o rynki grup narodowych, gotów jest mniemać, że znikną inne rodzaje walk.

Wł. Studnicki.

Z UST GÓRALA ✻ ✻ ZAKOPIAŃSKIEGO. *)

Jędrzej Gąsienica z Gładkiej na Gubałówce ma 65 roków. Nie wygląda jednak na tyle. Głowę niesie wysoko, niby jeleń — śmigłej postaci, nie zgięło mu jeszcze brzemię lat, długie włosy kruczą lśnią się barwą — wązkiej twarzy typowego górala nie brużdżą zmarszczki — a łatwy uśmiech nerwowych warg ukazuje zęby zdrowe i mocne. Oczy jeno, czarne, głęboko osadzone, nie płoną młodym ogniem, a na drobne przedmioty patrzeć muszą przez szkła okularów, które dziwne robią wrażenie na twarzy, zbrązowiałej od wichrów halnych, wyrazistej i dzikiej, jak otaczająca przyroda.

Orli niegdyś wzrok gazdy przyćmiła robota krawiecka, wykonywana w lecie u jedynego okienka malutkiej izby, w której się mieści z liczną rodziną, a w długie wieczory zimowe przy rażącem świetle lampy o poziomym daszku z pobielanej blachy.

Jędrzej Gąsienica nie zawsze jednak był krawcem. Młodość upłynęła mu na halach i wirchach, wśród jasnych otchłani powietrznych — w pustce, samotności i ciszy, lub wśród dzikich poświstów wichru, śnieżnych kłębów f u j a w i c y, w zamierzchu c z y r n i a w y. Sam on tak opowiada w zwięzłych słowach zmienne koleje swego życia:

„Przodziej pasałek owce u ojca, jako juhas — owczarzowałek do 30 lat na halach. Potem jeździłek dwa razy na Litwę, nie precz od miasta Grodna. Byłek też za przewodnika. „Sićkie góry przeseł, sićkie przewandrował“ — wylazłek i na Gerlak, co najhrubszy gazda jest, telo co ociec inszym górom. A potem chyciłek się krawiectwa i to sam ze swojej głowy. Nie byłek nigdy u krawca ani pół godziny, ino sam się nauczyłek.

„O hej, pracowałek, bo i trza było pracować. Pan Bóg nagodził dzieciami, ociec dał mi, jako się ożeniłek, telo majątku, cobyk na małym palcu uniósł, toż jakoz było nie robić? No, ale chwała Bogu, na starość dorobiłek się fajnego majątku“,

Ów „fajny majątek“ składa się z trzech domów i dziesięciu rozrzuconych „kęsów“ pola, za które — przy obecnych cenach — możnaby wziąść po 6 tysięcy koron za każdy — i stanowi przedmiot słusznej dumy Jędrzeja Gąsienicy. Całą przedsiębiorczość, skrzętność, energję, rzutkość, inteligencję, słowem wszelkie przymioty, właściwe góralom, skierował — w nieświadomości innych — ku jednemu celowi i osiągnął, co zamierzał: stał się „hrubym gazdą“.

Zapamiętała pogoń za bogactwem nie pozbawiła go jednak sympatycznych cech, wrodzonych ludowi górskiemu. Gąsienica należy do pokolenia, którego jedyną jeszcze mistrzynią była przyroda, groźna i cudna w dzikim swym majestacie, — do pokolenia, co gasiło żar pragnień u jasnych źródeł, ze szczytów biegnących — nie zaś w mętnych ściekach „cywilizacji“. To też jest w nim szczerość natury pierwotnej, jej wrażliwość i głębia. Uczucie życzliwości, którem ogarnia ludzi, rozciąga i do świata zwierzęcego. Duszna kuchnia, gdzie się mieści z rodziną, bo „domy som là gości, là p a n ó w“ — to prawdziwa arka Noego. Pod ławkami śmigają m o r s c u k i (świnki morskie), po nalepie przechadza się kawka, urodzona wysoko, bo aż na dzwonnicy starego kościoła: nad oknem w klatce złocą się kanarki, a śpiew ich odbija jaskrawą nutą od tłumionego gruchania gołębi, mających siedlisko nad drzwiami. We wzorowej zgodzie z resztą towarzystwa żyją biały kot i piesek też biały, o jednem, jakby przyklejonem uchu czarnem. „Sićko źwierze mam, ino mi konia chybia“ — mawia gazda z zadowoleniem. A trzeba widzieć, jakim ciepłym uśmiechem odmładza się zasuszona jego twarz, gdy zrana „odbywa“ swoje d ź w i e r z e n t a w izbie, lub gdy podsłuchuje pod ulami „gwary pscół, co ino-ino majom sie roić“.

Poglądy swe na przyrodę i stosunki ludzkie — zawsze słuszne, nieraz bardzo głębokie — wypowiada w formie zwięzłych zdań, ilustrując je oryginalnemi przysłowiami, jak naprzykład: „Na

*) Opowiadanie niniejsze powtarzamy za „Ludem“, organem Towarzystwa ludoznawczego, gdzie były drukowane gwarą fonetyczną. (Przyp. Red.).

przodek nie wychodź, na zadku nie ostaj, do pośrodka sie nie ciś“. Albo: „temu bieda, co moc ma, temu większa, co nic nima“. Albo jeszcze: „bieda temu, dobrze temu, co nic nima, bo sie wyśpi, nie wydrzyma“.

Najwdzięczniejszem jednak polem popisu dla krasomówstwa gazdy są dłuższe opowiadania o zbójnikach — Tatara Myśliwca i Mateję znał osobiście — a także o istotach i zjawiskach nadprzyrodzonych. Wygłasza je gwarą silną, zwięzłą, urokiem archaizmów nęcącą, potęgując bardziej jeszcze wrażenie ożywioną grą twarzy, dźwiękiem głosu, ruchami.

Parę z tych opowiadań przytaczam właśnie poniżej z żalem ogromnym, że, spisane, tracą pierwotną swoją świeżość rosy porannej, gasną i bledną, niby kwiat, w bibule zasuszony.

Skąd się wzięła nazwa: Zakopane?*)

Niegdyś to miejsce, gdzie tera stoi Zakopane, było doznaku lasem porośnione. Świat był nie taki, jako dzisiaj. Nie było haw ludzi moc, jeno coś czterech gazdów. Jeden z nich był na Starej Polanie — jest i tara Stara Polana, widać, że jest najstarsza ta polana. Drugi gazda, Walency, na Skibówce. Trzeci kył na Kościeliskiej dolinie — pisali się Sobczacy, a czwarty, Kosiełka — na Chałubińskiego ulicy, ale w te czasy nazywała się ona Grapski wierch, a gazda pisał się Grapek.

I co sie nie zrobiło: przyszeł jakiś człek z inszej strony, pono od Krakowa, i zrobił se kolibę w lesie, wśród Gubałówki, naprzeciw kościoła starego. Ścinał przy kolibie drzewo na opał i zrobił se kąsek ziemi na kielo-telo krocenia, co się nazywa płaśnia.

Ten człowiek ze świata odzienie miał inaksze, jak ci zamieszkalcy. Ci gazdowie mieli spodnie z białego sukna i cuhę na ramiona, którą sie przyodziewali z wierchu. A ten człowiek ze świata miał odzienie czarne, a spodnie smużniate: jeden pasek biały, drugi czarny, trzeci zielony, czwarty żółty, a piąty i szósty coraz inszego gatunku. Były te paski na jego odzieniu podobne do gąsienicy, chrobaka, co jada kapustę. Wiem, że mało człowieka, coby tego chrobaka nie widział.

Ujrzeli ci zamieszkalcy starsi, gazdowie, że jakiś człowiek hań pod Gubałówką się przechodzi i nazwali go po tych smużniatyk spodniach Gąsienicą.

Ten Gąsienica przebył hań parę zim i dość dużą, nie małą płaśnię wyrąbał. Poszeł potem kansi dalej do wsi, przyniósł owsa w rękawicy — może było tego owsa kwarta — na tej płaśni wysiał ten owies i zakopał motyką, bo pługa nie miał ani koni. — A w tem miejscu jest do dziś dnia polana — bedzie jej sześć morgów — nazywa się ta polana Zakopiska. Mój ociec ze strykiem majom czwartą część tej polany, a te insze trzy części mają też Gąsienicowie — nikt inszy — w tej samej rodzinie, ale oni wychodzą już z przyjacielstwa, bo to piąte pokolenie.

I po tych Zakopiskach nazywa się dziś cała wieś Zakopane.

Widać, że to nie było wtenczas ludno, kie z innych stron jakiś człowiek przyszeł i sam dobrowolnie chcąc, obsiad. Nikt mu nic nie pedział, ale mu byli radzi. Teraz by się nie dało to zrobić, aby jakiś przyszeł ze świata i obsiad, bo by się go spytali: „Coś tu kciał?“

Zakopiska należą do polany Gładkiej. Gładka się nazywa przeto, że ani kamieni, ani kęp nijakich nie masz w niej, jest gładko po tej ziemi. Nad temi Zakopiskami postawił pamiątkę sławny doktor, p. Chałubiński z Warszawy — postawił krzyż ulany ze surowicy żelaznej, — ciężki krzyż, ośmioma koniami ciągli go bez Ciągłówkę do Furmanowej. Pozwolił Jakób Mihna na swojej ziemi ten krzyż postawić, przy miedzy zakopiańskiej, prociśród Zakopisk.

M. Wysłouchowa.

Wyrazy gwarowe: d o z n a k u = zupełnie, h a w = tu, k i e l o = wiele, k r o c e n i a = kroki, p ł a ś n i a = łąka leśna, k a n s i = gdzieś, k i e = gdy, kiedy, p r z y j a c i e l s t w o = pokrewieństwo.

C. d. n.

*) Porównaj wyjaśnienie nazwy Zakopanego u Walerego Eljasza: „Kilka wrażeń z Tatr“ — w „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego“ r. 1880. t. V. str. 75.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Henryk Struve. *Anarchizm ducha u obcych i u nas*. Studjum krytyczne. Wydanie drugie. Warszawa. Nakładem księgarni Konstantego Treptego 1901.

Broszura niniejsza jest protestem „zdrowego rozsądku“ i „prawdziwej a szczerej wiedzy“ przeciw ostatnim kierunkom tak na polu nauki, jak sztuki. Ma ona wyraźną tendencję odwrócenia wszystkich zdrowych, niezdeprawowanych umysłów od t. zw. dekadentyzmu.

Prof. Struve stara się swoje twierdzenia ściśle naukowo uzasadnić i broszura posiada rzeczywiście wszelkie pozory naukowości.

Przedewszystkiem więc, czem jest anarchizm, a w szczególności anarchizm ducha? Odpowiada prof. Struve: „Anarchizm ducha polega na poniewieraniu wszelkich prawd i zasad moralnych, obowiązujących rozumnego człowieka w zakresie czynności umysłowych, uczucia, myślenia i woli, a więc i ich wytworów: poezji i sztuki, nauki i filozofji, religji i moralności. Punktem wyjścia dla niego jest bezwzględny indywidualizm“.

Indywidualizm względny uznaje prof. Struve. Żadna jednostka nie powinna być krępowana w działaniu; ale też każda jednostka powinna o tem pamiętać, że jest przedstawicielką pewnego ogólnego typu: człowieka i że powinna stać się możliwie pełnym wyrazem swego typu. (Zależność doskonałości pewnej jednostki od tego, czy się w niej mniej lub więcej wyraźnie odzwierciedla ogólny typ, do którego należy, jest postulatem etyki Arystotelesa). Dlatego też nikt doskonały nie powinien się wyrzekać ogólno-ludzkich dążeń, prawd, aspiracji, bo jest przedewszystkiem — człowiekiem. Anarchizm ducha, ponieważ nie uznaje ani sztuki, ani nauki, ani niczego, prócz bezwzględnej woli i zachcianek jednostki — jest niedoskonałym, jest zgubnym, jest trującym, wstecznym i grozi ludzkości — powrotem do barbarzyństwa!

Następuje obraz rozwoju anarchizmu ducha, przegląd jego głównych przedstawicieli, więc: Strauss, Feuerbach, Bauer, przedewszystkiem Max Stirner. Dalej materjaliści: Vogt, Büchner, Moleschott. Najbardziej przerażają prof. Struvego wyniki materjalizmu, szczególniej tyczące się wolnej woli. Tutaj jednakże trzeba zauważyć, że chociaż człowiekowi zbożnemu jest rzeczywiście bardzo przykro być deterministą (uznającym brak wolnej woli), to przecież, pracując szczerze naukowo na polu filozofji — musi nim być niestety, uznając, że tak życie ciała, jak i duszy, a więc i wszystkie postanowienia ujęte są w rygor prawa niezmiennej konieczności i przyczynowości. I determinizm nie jest bynajmniej zasiewem ateizmu — jak chce prof. Struve — jest chyba zasiewem szczerej, prawdziwej nauki i zdrowego rozumu.

Teraz anarchizm w sztuce! Więc ludzie, plwający na wszystkie reguły twórczości, na wszelką wzniosłość i ideały, na głębokie uczucia i rozum. Ich miejsce zajął temperament, zajęła ognista namiętność, gorące, wyuzdane porywy, śmiałe urojenia etc. Płodem zaś tego wstecznictwa: parnasiści, dekadenci, hydropaci (!) djaboliści, impresjoniści i tym podobni — moderniści. Przedstawiciele: Teofil Gautier i Karol Baudelaire — poeci, co śpiewają o młodzieży lubieżnej, kobietach upadłych, starcach przewrotnych i tym podobnych.. anarchistach! Villiers, Baobey, Richepin — djaboliści, co piszą tego rodzaju kawałki, jak: *Les diaboliques, Les blasphémes* i t. d. — przedewszystkiem anarchistyczno-indywidualistyczno-perwersny Ibsen, który powiada, że na Jowiszu dwa a dwa jest pięć!! A w akordzie z nimi inny anarchista z predylekcją do prostoty ludowej, wybujały wstecznik — Tołstoj.

Wreszcie groźny, niebezpieczny warjat, krwawy pożeracz wszelkiej cnotliwości, a przecież mimo to głupi — Nietsche! Wkońcu R. Wagner, którego znaczenie jest takie: 1) nie jest żadnym poetą, 2) jest lichym muzykiem, mającym jedynie zasługi na polu instrumentacji — zresztą jest anarchistą, podrywającym podstawy i wymagania wiekowej kultury, bo marzy o konglomeracie wszystkich sztuk (Michał Anioł?!) Krytyka poglądów Nietschego - słuszna! Można było jednakże powstrzymać się od akcentów, zdradzających silną nienawiść profesora Struvego do tego filozofa. Przypuszcza n. p. prof. Struve, że Nietsche zwrócił się w ostatnich latach przeciw Wagnerowi dlatego, że ten nie wychwalał jego kompozycji...

Przy końcu znajduje się ustęp, mówiący o naszym bezwzględnym indywidualizmie. Znajdują się tu wyjątki z nienazwanego, a bardzo dobrze znanego poety, mające świadczyć o anarchizmie ducha; w końcu dość pochlebna (jak na to obchodzenie się prof. Struvego z autorami, wymienionymi w dziełku) krytyka poglądów Lutosławskiego.

Kończy się dzieło prof. Struvego błogą nadzieją, że o świątynie, akademje nauk, szpitale, rozbiją się w puch silne nawałnice anarchizmu.

Książka prof. Struvego jest pisana językiem ścisłym i naukowym. Co się tyczy kwestyj psychologicznych, nie zgodziłbym się z szan. profesorem, jakoby sumienie było objawem psychicznym (str. 15). Czy prof. Struve przyjmie podział zjawisk psychicznych Kartezjusza, czy najnowszy, nie znajdzie między niemi — sumienia. Sumienie, jak miłość, talent, pożądliwość, są to t. zw. dyspozycje psychiczne, warunkujące dopiero pewne zjawiska psychiczne. *Teodor Mianowski.*

*

L. Ariosto. *Orland oszalały*. Przekład Felicjana. Warszawa. Bibljoteka dzieł wyborowych.

Z 46 pieśni (około 37 tysięcy wierszy!), z których w oryginale składa się epos Arjosta, wybrał tłumacz naczelne epizody i przetłumaczywszy ze wszystkich nie-

mal pieśni 583 oktaw (4664 wierszy), stworzył w ten sposób całość, dającą wcale dokładne wyobrażenie o oryginale, dając mianowicie jego treść: miłość i szał nieszczęsnego kochanka Angieliki, a obok niej sporą garść tych przeróżnych, już to pogodnych, już to zgryźliwie satyrycznych inwokacyj, aluzyj i dygresyj fantastycznych, które to właśnie wytwarzają specjalny czar... „arjostyczny" tego nieśmiertelnego poematu, bez którego ani „Don Juana" by nie było, ani „Beniowskiego", a może nawet i „Króla Ducha". Przekład Faleńskiego bez przesady nazwać można arcydziełem. Tylko taki wirtuoz słowa, jak wytworny autor „Meandrów", mógł do tego stopnia wżyć się w ducha tej niezrównanej, kapryśnej, giętkiej, błyskotliwej, a zawsze misternej oktawy Arjosta i wskrzesić ją w mowie naszej, nic z przedziwnego czaru jej nie uroniwszy i tak we formie oryginału, dyskretnie archaizowanym a wzorowym językiem poetyckim, oddać wiernie wszystkie naczelne cechy arjostycznej muzy, jej barwność, lekkość, chaotyczność fantastyczną, ironję dobroduszną i dobroduszność ironiczną... Jak w oryginale, biegną u Felicjana te oktawy w nieskończoność, szeregiem wolnym jednak od monotonji, a coraz nowemi mieniącym się barwami. Więc nic dziwnego, że taki *arbiter elegantiarum* i sam wirtuoz słowa wytworny i tłumacz, jakim jest Zenon Przesmycki, mówi o tym przekładzie, że „sam *messer Lodovico,* który jedenaście lat pracował nad „Orlandem", a potem szesnaście lat go poprawiał, aby każda stanca była dziełem sztuki, bratersko uścisnąłby dłoń tłumacza za takie djamentowe strofy". Faleńskiego przekład „Orlanda oszalałego" jest jednym z najlepszych przekładów arcydzieł literatury europejskiej, jakie wogóle posiadamy, godnym stanąć obok Piotra Kochanowskiego przekładu „Jerozolimy wyzwolonej", a jest także pierwszym u nas poetyckim przekładem arjostowskiego eposu, gdyż wiadomo, że znany dopiero częściowo przekład tegoż poematu, przypisywany Piotrowi Kochanowskiemu, o całe niebo niżej stoi od przekładu „Jerozolimy". Więc temgorręcej pragnąć należy pojawienia się całkowitego przekładu felicjanowskiego.

A. C.

*

Nauczycielstwo i pedagogja. Uwagi J. Wabnera. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1902.

Autor liczył widocznie głównie na czytelników z pośród zawodowych pedagogów i do nich też w pierwszej części rozprawy wyłącznie się zwraca, proponując różne zmiany w systemie nauczania, mianowicie języków, a w szczególności klasycznych. Z tego względu i ta rozprawa nie byłaby w ścisłem znaczeniu „książką dla wszystkich", choć wydano ją pod tym ogólnym tytułem. Wszelako porusza ona niektóre bardzo ważne zagadnienia, które nietylko pedagogów, ale i rodziców, a nawet całe społeczeństwo interesują, a uwagi autora nabierają znaczenia, gdy się zważy, że podaje je wytrawny pedagog, który blisko 40 lat strawił na uczeniu i wychowywaniu młodzieży.

P. Wabner jest przedewszystkiem zwolennikiem ujednostajnienia typu szkół średnich i wypowiada nadzieję, że „może się doczekamy jednotypowej szkoły, dającej możność humanitarno-realnego przygotowania młodzieży do dalszych kierunków specjalnych". Wiadomo, że kwestja ta jest aktualną i u nas w Galicji i że w Sejmie pjonierem tej myśli jest poseł Rotter. U nas więc z obozu realistów wychodzi to samo żądanie co do reformy szkoły średniej, które w Królestwie gorliwie popiera taki rozmiłowany w klasycyzmie filolog, jak p. Wabner.

W metodzie nauczania proponuje autor niektóre zmiany bardzo doniosłe. Udzielanie języków, a zwłaszcza klasycznych, powinno opierać się głównie na praktyce, na swobodnych rozmówkach, a zatem na tej samej metodzie, którą dziś stosuje się przy nauce wszystkich języków nowoczesnych. Analiza gramatyczna ma zająć podrzędne miejsce, natomiast zaś powinien uczeń wnikać w treść przedmiotu i zagłębiać się w zrozumieniu ducha i ideałów świata klasycznego, które i dotąd przyświecają jako wzór dla ludzkości. Zadania domowe i to zarówno z filologji, jak i z innych przedmiotów, a najwięcej z matematyki, nie powinny uczniów przeciążać i bezwarunkowo nie powinny mieć za przedmiot nowych lekcyj, w klasie jeszcze nie przerobionych, a ograniczać się do powtórzenia już wyłożonego przedmiotu w formie nieco odmiennej i skłaniać ucznia do samodzielnego myślenia i uwagi. Te dwa przymioty uważa autor za najważniejsze u młodzieży, a dla ich kształcenia radzi stanowczo usunąć korepetytorstwo. Według zdania p. Wabnera, korepetycje domowe nużą młodzież, przedłużając niejako godziny szkolne, a nadto osłabiają uwagę w klasie, gdyż uczeń opuszcza się na korepetytora, który też nieraz nawet wyręcza swego elewa w wypracowaniach piśmiennych. Główny nacisk położyć trzeba na naukę szkolną.

Rozprawka mieści także wiele praktycznych wskazówek dla nauczycieli co do środków pedagogicznych, kształcących uwagę i wdrażających młodzież do zamiłowania nauki.

Styl rozprawki, przeplatany klasycznemi porównaniami i cytatami autorów łacińskich i greckich, odznacza się serdecznością tonu i chwyta za serce. Niestety, nie chcąc bynajmniej uchybić autorowi, z przykrością zaznaczyć musimy, że, jak wogóle w wydawnictwach tego cyklu („Książki dla wszystkich"), tak i w tej rozprawie, rażą miejscami usterki co do czystości języka polskiego.

S. M.

*

T. M. Dostojewski. *Białe noce, Cicha, Przykra anegdota,* tłómaczyli Konrad Rakowski i Adam Siedlecki. Lwów 1902. Nakładem księgarni H. Altenberga, 8-ka, kt. ul. 2, str. III., 241, 1 nlb.

Znajomość dzieł Dostojewskiego, jednego z największych powieściopisarzy europejskich XIX. stulecia, jest u nas dotychczas bardzo mała, chociaż minęło już lat 20 od chwili, kiedy wszyscy poznali się na olbrzymim jego talencie. Z dzieł Dostojewskiego przyswojono naszej literaturze tylko dwa, tj. „Wspomnienia z martwego domu" i „Zbrodnię i karę". To też na pochwałę zasługuje wydanie przekładu tych trzech nowel, z których każda pochodzi z innej doby twórczości Do-

stojewskiego. Bo wszystkie one razem wzięte, różne treścią i nastrojem, są w stanie oddać w ogólnych zarysach psychiczny wizerunek powieściopisarza, który pod względem idei, włożonej w swoje utwory, stoi bardzo wysoko. Odrazu daje się wyczuć w tych nowelach umysł głęboki, o wyobraźni potężnej, wielkim artyzmie i bystrej obserwacji życia codziennego.

Sam przekład jest poprawny na ogół, pomijając kilka błędów stylistycznych. *w. i.*

PISMA. *Pamiętnik literacki.* Trzeci zeszyt poważnego tego kwartalnika, poświęconego historji i krytyce literatury polskiej, którego wydawnictwo rozpoczęło w roku bieżącym lwowskie Towarzystwo literackie im. A. Mickiewicza (pod redakcją: W. Bruchnalskiego, B. Gubrynowicza i E. Porębowicza), przedstawia się równie bogato i zajmująco, jak dwa zeszyty poprzednie. W dziale „rozpraw“ spotykamy tu, obok artykułu wstępnego pióra H. Struvego p. t.: „Przedmiot i metoda historji i literatury polskiej“ i obok dokończenia cennej pracy J. Kallenbacha o „nieznanych utworach francuskich Z. Krasińskiego“, zajmującą rozprawkę Ant. Potockiego p. t.: „Sejmiki literackie w dobie romantyzmu“. Sejmiki te — to noworoczniki i almanachy literackie, jedna z najciekawszych form-typów w literaturze europejskiej, która i u nas ważną odegrała rolę. We Francji i wogóle na Zachodzie, od połowy wieku XVIII do pierwszych dziesiątków wieku XIX, jest to forma piśmiennictwa tak popularna, jak dziś n. p. „Tygodnik literacko-naukowy“. Rozwija się ona najbujniej we Francji i jest tam jednem z najwierniejszych odbić „na chłodno egzaltowanej, świetnej i dziwnie bezserdecznej, a tak doktrynerskiej duszy w. XVIII“. U nas obok dawno już istniejącego kalendarza pojawia się almanach w drugim i trzecim dziesiątku w. XIX. i jest bardzo charakterystyczną formą naszego życia literackiego w epoce Księstwa Warszawskiego. Pierwszym almanachem polskim jest wydany w Lublinie „Almanach lubelski na r. 1815 dla amatorów literatury ojczystej“ Klemensa Urnowskiego. Po nim idą w Warszawie: F. Klukowskiego „Flora, rocznik damski“ i A. Brzeziny „Wanda“, a we Lwowie (najbardziej wzorowo ułożony) Hüttena i Mausa: „Pielgrzym lwowski“ (1822—23) i w. i., wreszcie słynna „Melitele“. W dalszym ciągu spotykamy w „Pamiętniku“ pod rubryką „Notatki“ prace: ks. J. Fjałka, St. Dobrzyckiego, J. Rostafińskiego, J. Chrzanowskiego i St. Kopji, przynoszące mniej lub więcej ciekawe przyczynki do dziejów naszej literatury. — W rubryce p. t.: „Materjały“, przynosi Wł. Nehring całą serję „listów polskich śląskich z XVI wieku“. Wreszcie w rubryce p. t.: „Recenzje i sprawozdania“, obok innych, spotykamy recenzję pióra A. Brücknera o „Historji literatury polskiej“ St. Tarnowskiego, który niedawno temu omówił w „Kraju“ cenną, niemiecka pracę sprawozdawcy o tym samym przedmiocie. Całość zeszytu zamyka staranna bardzo „Bibljografja literacka czasopism polskich za rok 1901“. Ubolewać tylko należy, że ostatni zeszyt „Pamiętnika“ nie posiada ani jednej pracy naszej współczesnej literatury twórczej (o współczesnej literaturze krytycznej piszą w „Sprawozdaniach“ pp.: Porębowicz i Mazanowski). Ujęłoby to „Pamiętnikowi“ nieco powagi... profesorskiej, ale podwoiłoby jego wartość, a może i grono czytelników. Trzeba z „żywymi naprzód iść!“...

A. C.

SZTUKA. *Wizerunki królów polskich.* Wśród wielu usiłowań ujęcia w całokształt różnych dziedzin naszego życia narodowego, wydobycia indywidualnie narodowych cech tego życia, zajmuje bezsprzecznie największe miejsce *magistrae vitae nostrae,* nasza historja, ale pojęta w najszerszem tego słowa znaczeniu, czyli jako historja cywilizacji. Wszystko, co tylko ma z nią jaki związek, znajduje coraz to więcej chętnych nawet pracę całego żywota w tem utopić. Dzięki temu badania różnicują się, tworzą się specjalności coraz to bardziej drobiazgowe, ale też i coraz to dokładniejsze i głębsze.

Godną uwagi jest myśl wydania jak najlepszego zbioru wizerunków królów polskich. Inicjator, p. Cz. Jankowski, za punkt wyjścia w ocenieniu, o ile wizerunek tego czy owego króla jest dobrym, bierze jego podobieństwo do wizerunku duchowego, jaki się tworzy na podstawie wiadomości o nim. Rozpatruje pod tym psychologicznym punktem widzenia trzy wydawnictwa. Lesserowi (z roku 1860) przyznaje wielką pracowitość i majestatyczność jego wizerunków, ale maska duchowa w kilku tylko dobrze jest uchwyconą. Rysunki Pillatiego są sumienne bardzo, ale autor ich obdarzony był małym tylko talentem. Najpotężniejsze są oczywiście wizerunki Matejki, ale potężna jego indywidualność pokłóciła się trochę z historją. W wizerunkach królów dawniejszych, gdzie był zupełnie swobodnym, potworzył typy, ale w nowszych, gdzie mamy już dość dokładne tradycje, tworząc zbyt indywidualnie, pogwałcił wyobrażenia nasze o duchowem podobieństwie królów.

Z tego powodu proponuje p. Jankowski, aby przy nowem wydaniu kolekcji wizerunków królów polskich uwzględnić Lessera i Matejkę. Pomijając już to, że autor zapomina o spółczesnych sztychach, niejednokrotnie doskonałych, projekt ten jest niezgodny z duchem badań, o którym wspomnieliśmy na początku. Naszem zdaniem, należałoby postąpić inaczej. Więcej mamy dziś artystów znakomitych, niż królów, każdego zaś z tych ostatnich fizjognomja jest tak obfitą, że jeden człowiek ma tu w co wnikać i ma nad czem dobrze pracować. Gdyby więc można zrobić tak, żeby znakomici artyści rozebrali między siebie portrety poszczególnych królów, toby dopiero mogła być galerja, której każdy wizerunek byłby najdokładniej przestudjowany i przemyślany, a zarazem obdarzony odrębną indywidualnością. *St. W.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8